

MUZYKA

Bal w operze

Dobrze gdy Teatr Wielki w Warszawie zaprasza do wystawienia opery zagranicznego reżysera z prawdziwego zdarzenia. Dobrze też, gdy zaproszony reżyser nie wykorzysta magii swego nazwiska dla przysłowiowego poprzestawiania mebli do tego stopnia, że wśród nich muzyka niemal się gubi lub schodzi na plan dalszy.

Otóż przy wystawianiu „Balu maskowego”, wspaniałej i bynajmniej nie gorszej od tych najczęściej wystawianych operze Verdiego, szczególnie do tego nie doszło. Premierowe przedstawienie przekonało, że zaproszony ze Sztokholmu norweski reżyser, Knut Hendriksen, jak i gościnnie dyrygujący Bogusław Madey, uwypuklili wszystkie wspaniałości partytury Verdiego, tak że w efekcie premierę „Balu maskowego” wolno uważać za jedno z bardziej udanych pozycji stołecznego teatru.

Głównym novum spektaklu miało być przeniesienie akcji opery do rzeczywistości historycznej, zgodnie z pierwotnymi zamierzeniami librecy i kompozytora. Zrezygnowano więc z narzuconego w 1859 r. fikcyjnego gubernatora Bostonu na rzecz króla Szwecji Gustawa III, rzeczywście zamordowanego w Sztokholmie na balu dworskim. Dodało to akcji na scenie ostrości dramatycznej i pozwoliło scenografom — Li-dii i Jerzemu Skarżyńskim — na swobodniejsze operowanie kolorystem lokalnym. I od tej strony przedstawienie przygotowano z najdalej posuniętą starannością. Bogusław Madey prowadził premierowy spektakl z właściwą sobie kulturą, nerwem i dużą muzykalnością.

Niewątpliwie wśród solistów na czoło wysunęła się Bożena Kinasz-Mikołajczyk w partii Amelii, wiernej żony, kochanej i kochającej jednak przyjaciela swego małżonka. Głównie dzięki niej muzyka ze sceny płynęła z całą przekonującą Verdiovską siłą. Jej aria w II akcie wykonana została pod każdym względem znakomicie. Również i w duecie miłosnym tego aktu tenorowa partia Romana Węgrzyna prezentowała się najlepiej. W ogóle cały akt pierwszy był jakby przytłumiony, odnosiło się wrażenie, że orkiestra zbyt dominuje, ale później wrażenie to ustąpiło. Obydwie partie zarówno trzpiowatego paza — rola męska w damskiej obsadzie — dzięki Hannie Zdunek, jak i groźnej wróżki — Marii Orlisz, cieszyły ucho i oko. Kto wie, zresztą, czy trochę wróżka, a trochę czarownica powinna być taka

ładna? Na szczęście reżyser ją odemonizował (świetny szczegół z oglądaniem sztuk złota: dowód, że czarownica też chodzi po ziemi...). Trochę zawodu zrobił Zdzisław Klimek w odpowiedzialnej partii Hrabiego, rzekomo zdradzonego męża, przemieniającego się z druha w mordercę. Wydawało się, że ma trudności emisyjne, w pewnych partiach głos nie brzmiał, a z tekstu nie rozumiało się ani jednego słowa. Z pozostałych ról warto jeszcze podkreślić pięknie brzmiący bas Włodzimierza Zalewskiego w roli głównego spiskowca.

Orkiestra bez zarzutu, chóry doskonałe, na scenie rojnie i barwnie, na każdym kroku widoczne przemyślane działanie reżysera. Czego więcej pragnąć? Chyba tego, by Teatr Wielki nie kazał nam długo czekać na następną, równie udaną premierę.

HENRYK SWOLKIEŃ

76/72

prez. 13.02.1977

reż Knut Hendriksen